

Wiech  
Opowiadania powojenne

Tom XIII  
Piąte przez dziesiąte



# WIECH

Stefan Wiechecki

---

## PIĄTE PRZEZ DZISIAŃ

---

vis-à-vis  
*etiuda*

Kraków 2023



## Od autora

Na każdego przychodzi czas pisania pamiętnika, nikt się od tego nie wykreści. W każdym razie rzadko kto. Ja opierałem się dość długo. Do pisania wspomnień potrzebna jest przede wszystkim dobra pamięć, a tu wiele ciekawych obrazów przeszłości wywietrzało człowiekowi z tak zwanych szarych komórek.

Czasem zazdrość tego człowieka ogarnia, gdy słyszy starszych od siebie biesiadników przy kawiarnianym stoliku w „Europejskiej” sypiących jak z rękawa nazwiskami i datami.

Pewien świetny kompozytor na przykład, choć metryką wyprzedza mnie o lat kilka, recytuje jak z nut odległe w czasie fakty i ich szczegółiki. Zresztą jest z tego dumny:

– Ja tam na pamięć nie mogę narzekać – mawia o sobie – pamiętam wszystkie nazwiska i numery telefonów. Nawet po wódce. Mogę wypić pięć... tych... no, tych na nóżce... i wszystko w porządku.

Nawet i jemu zatem się zdarza, że umknie z pamięci takie proste słowo jak kieliszek. Cóż dopiero mówić o zwykłym śmiertelniku, niemogącym sobie czasem przypomnieć, o której miał wrócić do domu.

Toteż na ewentualne zarzuty, że w tej garści wspomnień niejedno może potraktowane zostało piąte przez dziesiąte, niezbyt wyczerpująco... dla czytelnika – zgodzę się. Ale zmuszony będą zastosować znaną handlową zasadę, że po odejściu od kasy żadne reklamacje uwzględniane nie będą.



## *Na tamtych ulicach*

Właściwie powinienem teraz być jakimś emerytowanym generałem brygady lub co najmniej kapitanem piechoty, oczywiście też na rencie. Dziecinne lata moje bowiem upływały w atmosferze bojowo-patriotycznej, w cieniu powstań narodowych, w ogniu walk, rewolucyjnych roku 1905.

Cień powstania listopadowego zaciążył już nad moim urodzeniem, gdyż przyszedłem na ten świat w małym domku na Woli, na wprost kościółka Sowińskiego. Rodzice moi opuścili to historyczne sąsiedztwo, kiedy miałem chyba coś z półtora roku, więc o bohaterskiej śmierci generała i walkach na wolskiej reducie dowiedziałem się znacznie później, ale coś tam widocznie wsiąkło w duszę oseska, bo niesłychanie potem byłem dumny ze swego miejsca urodzenia i na wałach reduty spędzałem liczne wagary w latach szkolnych. Leżąc w bujnej trawie, rozpamiętywałem przebieg ostatniej bitwy tego powstania i w wyobraźni brałem w niej czynny udział jako adiutant jednonogiego dowódcy.

Z bohaterami roku 1863 miałem już kontakt osobisty. Wielu z nich żyło wówczas, znajdowało się w moim otoczeniu. W oficynie domu przy ulicy Wielkiej, gdzie mieszkaliśmy po wyprowadzeniu się z Woli, miał na antresoli mały warsztacik szewc, pan Dobrosielski. Lubiałem tam przesiadywać, słuchając wspomnień o powstaniu, w którym pan Dobrosielski brał udział. W barwnych jego opowieściach, bo miał stary łąacz butów rzadki dar opowiadania, odżywały bitwy pod Małogoszczą, Rudnikami i Radomiem.

Wszystko to, opowiadane soczystą, najczystsza gwarą warszawską XIX wieku, zapadało wraz z tą gwarą w duszę i pamięć dziesięcioletniego chłopaka, który krył się tutaj, w szewskim warsztaciku, przed argusowym okiem pani Zofii, korepetytorki, na próżno go poszukującej po całym podwórzu tej ogromnej posesji. Ale jeszcze przedtem inny bohater powstania pojawił się na horyzoncie mojego życia. Był to tak zwany dziadek Byszewski. W roku 1904 chyba, po urodzeniu się następcy tronu rosyjskiego, car Mikołaj II ogłosił amnestię dla pozostałych jeszcze przy życiu zesłańców z roku 1863 przebywających na Syberii. Wrócił też wówczas kuzyn mego ojca, dziadek Byszewski, który znalazł się na Syberii jako dwudziestoletni młodzieniec. Teraz miał lat sześćdziesiąt parę, przestrzeloną podczas usiłowania ucieczki przez rzekę Jenisej nogę i zamiłowanie do wysokoprocentowych napojów rozgrzewających. Wrócił do oczekującej go przez lat czterdzieści żony, z którą rozdzielono go w pół roku po ślubie. Pamiętam babcię Byszewską. Była to rumiana siwowłosa staruszka pełna życiowego wigoru, niemogąca się pogodzić z drobnymi przyzwyczajeniami swego cudem odzyskanego męża. W wypadku takiej rodzinnej scysji dziadek Byszewski ukrywał się przed zrządzeniem małżonki u nas. Podczas nieobecności zajętych pracą naszych rodziców dotrzymywał towarzystwa mnie i memu o półtora roku starszemu bratu, Edmundowi.

Bardzo lubiliśmy wizyty dziadka Byszewskiego. Uzbrojeni przez niego w kije od szczotek przechodziliśmy przeszkolenie wojskowe. Dziadek Byszewski stawał przed nami wyciągnięty jak struna i podawał komendę: – *Smirna!*

Oznaczało to: „Bacność!”. Stary powstaniec po latach katorgi i zesłania zapomniał brzmienia polskiej komendy wojskowej, ale nam to nie przeszkadzało. Sprawnie poruszały się

kije w rękach przyszłych żołnierzy przyszłego wojska polskiego w takt rosyjskich rozkazów.

Do marzeń o karierze wojskowej w przyszłości dołączyły się wkrótce aspiracje aktorsko-autorskie. A doszło do tego w następujący sposób.

Kamienica przy ulicy Wielkiej 45 była wielką skrzynią czynszową, zamieszkiwało ją ze stu chyba lokatorów, obdarzonych przez los licznym przychówkiem, stanowiącym pierwszych moich towarzyszy zabaw podwórzowych i utrapienie miejscowego dozorca, stylowego warszawskiego ciecicia, zwanego popufale Wicus Pijus. Przez owego Wicusia, jak pseudonim wskazuje, znajdującego się przeważnie na tak zwanym gazomierzu, poznałem tajniki warszawskiej mowy wiązanej. Był on jednym z pierwszych moich wykładowców nadwiślańskiego dialektu.

Krótkie, ale kunsztowne jego przemówienia umoralniające spełniały wobec wrzeszczącej na podwórzu dzieciarni tę mniej więcej rolę co obecnie śliczne telewizyjne wierszyki pana Duriasza czy urocze występy Jacka i Agatki. Zaganiały nas do łóżek z tym samym chyba skutkiem.

Muszę tu stwierdzić, że każde z jego wyrażeń stanowić by mogło prawdziwą ozdobę „Słownika Wyrazów Zelżywych” profesora Wieczorkiewicza. Profesora jednak nie było jeszcze na świecie, a ja miałem chyba ze siedem lat. Jednak perły te mocno utkwiły mi w pamięci i pomogły w późniejszej pracy miłośnika i odtwórcy w piśmie gwary naszego miasta.

Ale nie brakowało i innych okazji. Oto kiedyś zeszły się na naszym podwórku dwa zespoły magików z dywanikami. W jednym z nich główną atrakcją stanowił „Człowiek-Wąż”, drugi chlubił się gwiazdą występującą jako „Kobieta-Krzesło, czyli tajemnicze zjawisko dwudziestego pierwszego wieku”. Żaden z dyrektorów nie chciał ustąpić i zaczęło się ku uciesze lokatorów podwójne przedstawienie.

Dwie katarynki grały różne melodie. „Człowiek-Wąż” wił się koło trzepaka, „Kobieta-Krzesło” cudownie znikąca pod tajemniczą zasłoną. Dopiero przy zbieraniu pieniędzy nastąpił konflikt między dyrektorami, którzy mówili do siebie przejmującym szeptem:

– Idźżeż ty lebiego niewidymko, co na puc nabierasz publikie. Cała forsa mnie się należy. Na Felka Minogie nikt nie patrzy, bo za dużo wsuwa, walizka mu urosła i na „Człowieka-Węża” wcale nie jest podobny. Nie widzisz, że publika rzuca forse dla „Kobiety-Krzesła”?

– Daj spokój, owieczko za wełne szarpana, komu zalewasz kolejkie zjawiskiem dwudziestego pierwszego wieku, kiedy i tak każdy widzi, że Mańka Kapeć ma lat pięćdziesiąt! A poniekąd z tajemniczem krzesłem także samo lipa. Błat się w niem wyjmuje i Mańka najeżdża dołem, kiedy ją płachtą nakryjesz.

I od słowa do słowa wezwano pogotowie. Duża draka. Ale wyparte nieraz przez Wicusia z podwórza dzieciaki i na ulicy znajdowały wiele ciekawych rzeczy.

Na rogu Siennej był sklep kupiecki pana Andrzejewskiego z chałwą i daktylami na wystawie. Obok mieścił się zakład tapicerski pana Mojżesza Ryndzuńskiego. Nieco dalej cukiernia pana Szczerkowskiego, demonstrująca w witrynie wspańnięte torty z fontannami z czerwonego lukru. Po drugiej stronie ulicy znajdował się skład lamp i porcelany pana Dawida Minerała. Otóż przed tym to sklepem zjawił się któregoś dnia, ku wielkiej naszej radości, jakiś wstawiony facet z długą żelazną belką na ramieniu. Na razie stał z przymkniętymi oczami, a potem zaczął wchodzić do składu. Ale przez roztargnienie nie zmienił położenia belki, która bokiem absolutnie nie chciała się zmieścić. Wstawiony szarpał się z nią bezskutecznie kilka minut, ale w końcu zrozumiał swój błąd, nadał szynie

właściwy kierunek i wszedł do magazynu, wybijając za jednym zamachem dwie szyby w podwójnych drzwiach.

Nagle zjawienie się belki w sklepie wywołało okrzyki przestachu ze strony właściciela i personelu:

– Uj, co to jest? Co sie zrobi, co?

– Szyne przyniesłem.

– Co znaczy szyne, jaką szyne, tu nie potrzeba żadne szyne!

– W jaki sposób nie potrzeba? – odparł tragarz i odwrócił się ku stojącemu za nim gospodarzowi.

Belka wykonała przy tym pół obrotu i strąciła na podłogę tuzin wiszących u sufitu żyrandoli.

– Nieszczęście na mój interes! Co on tu chce, ten chamuś, wychodź pan już! – wołała z kasy przeraźliwym dyszkantem pani Mineral.

Ponieważ kasa znajdowała się z przeciwnej strony, tragarz, chcąc udzielić wyjaśnień właścicielce sklepu, znowu musiał się odwrócić, i zdemolował resztę żyrandoli. A że i inne osoby, znajdujące się w magazynie, żądały wyjaśnień w sprawie belki, trzynięty jej posiadacz wykonał kilka ewolucji, wskutek czego wytlukł w drobny mak wszystkie lampy biurkowe oraz nocne i zamienił w kupę gruzów dwa kompletne serwisy. Kres zniszczeniu i naszej zabawie położył wreszcie wezwany stójkowy.

Nie były to zresztą jedyne sklepy pochłaniające naszą uwagę na Wielkiej i ulicach okolicznych. Całą watahą wybiegaliśmy aż na Marszałkowską, gdzie, niedaleko Siennej, istniał magazyn materiałów artystyczno-malarskich pana Wadowskiego. Na wystawie oprócz rozłożonych pięknie farb wodnych i olejnych, pastel i różnobarwnych kredek widniały oprawione w złoczone ramy reprodukcje malarstwa polskiego. Tu budziły pierwsze niepokoje lekko zawołowane biusty Francisz-

ka Żmurki. Tu przyciągał nasze oczy obraz Kossaka przedstawiający szarżę Czerkiesów na tłum przed kościołem Świętego Krzyża. Pan Wadowski, wystawiając go, składał dowód odwagi, choć czasy były już rewolucyjne i na niejedno można było sobie pozwolić. Naprzeciwko, w domu towarzystwa ubezpieczeń „Rosja”, w wytwornym wnętrzu sklepowym, wśród cicho tykających zegarów obsługiwał klientów jeden z najlepszych zegarmistrzów-jubilerów warszawskich, równie wytworny pan Adolf Modro.

Na razie jego wystawą nie interesowała specjalnie bandy chłopaków z Wielkiej, znacznie ciekawsze rzeczy leżały w witrynie sklepu z cukrami firmy „Złoty Ul” na rogu Świętokrzyskiej.

Kiedy jednak ukończyłem lat dziewięć i z klasy wstępnej przeszedłem do pierwszej, zawarłem znajomość z panem Modro, a mianowicie kupiła mi tam mama piękny, cieniutki, ciemno oksydowany uczniowski zegarek kieszonkowy. Tak się zdarzyło, że zaraz na drugi dzień zegarek, zjeżdżając po poręczy z pierwszego piętra, spadł na schody, oczywiście razem z właścicielem. Właścicielowi nic się nie stało, ale zegarek przestał chodzić – coś w nim tam pękło.

Bardzo speszony, w tajemnicy przed mamą poszedłem do zegarmistrza. Pan Modro eleganckim ruchem poprawił w oku monokl, otworzył czasomierz, zajrzał do wnętrza, po czym powiedział uprzejmym tonem:

– G... chłopu, nie zegarek, kiedy się z nim obchodzić nie umie, kawalerze.

Od tej pory, oddając do naprawy zegarek, zawsze się czuję zażenowany i pełen winy.

Wiele rzeczy działo się na ulicy Wielkiej. Były to lata pierwszych podmuchów rewolucji, lata 1905–1907. W moich

oczach padali śmiertelnie ranni od salw piechurów litewskiego pułku podczas manifestacji na placu Grzybowskiem. Do tej pory widzę czołgających się jezdnią okrwawionych ludzi.

Widzę siebie i brata Mundka, jak przemykamy się w towarzystwie dziadka pod murami domów. Po chodnikach i śródkiem ulicy jadą kozacy z gołymi szablami w rękach. Jeden podjeżdża blisko, napiera na nas koniem. Jesteśmy przy bramie, ale furtka zamknięta. Dziadek stuka w nią laską. Kozak jest coraz bliżej. Już czujemy oddech konia, zapach potu i dziegciu. Dziadek zdiela konia laską w łeb. Kozak wznosi szaszkę w górę. W tej chwili furtka się otwiera, wpadamy do bramy. Jesteśmy w domu. Była to tzw. „krwawa środa”, 15 sierpnia 1906 roku, kiedy to bojowcy urządzili prawdziwy pogrom carskiej policji i żandarmerii. Padło wtedy trupem mnóstwo stójkowych, rewirowych i agentów Ochrany. Na opustoszałych ulicach byli tylko bojowcy, wojsko, kozacy, no i my z Mundkiem, spokojnie wracający sobie na Wielką z Nowolipia, z imieniem kuzynki Marysi. Na szczęście na rogu Bagna czekał na nas dziadek, pod którego opieką dostaliśmy się do domu. W ogóle były to czasy spowite „dymem pożarów i kurzem krwi bratniej”. Nasze młode oczy codziennie niemal patrzyły na krew płynącą po bruku. Padali ludzie w walkach bratobójczych między bojówkami różnych partii. Płonęły sklepy carskiego monopolu wódczanego. Wybuchwały bomby rzucane na carskich siepaczy. Sunęły po ulicach pochody z czerwonymi i biało-czerwonymi sztandarami. Mieszały się z sobą pieśni *Na barykady*, *ludu roboczy* i *Boże, coś Polskę*. Powstały wówczas polskie szkoły, których duch sprawił, że jako uczniowie klas pierwszych postawiliśmy się z Mundkiem sztorcem całej carskiej potędze.

Było to w kilka lat później w Częstochowie, na placu przed cerkwią w alei Najświętszej Panny Marii. Odbywała się

jakaś parada wojskowa. Wmieszani w tłum, przypatrywaliśmy się z bratem defiladzie miejscowego pułku rosyjskiej piechoty. Nagle wojsko stanęło, sprezentowało broń, a orkiestra zagrała *Boże, cara chrani*. Wszyscy cywile odkryli głowy, z wyjątkiem nas dwóch. Staliśmy w tym tłumie w czapkach polskiej szkoły i ani nam się śniło je zdejmować. Wszyscy patrzyli na nas ze zdumieniem, a nawet z przestachem. Niektórzy z obecnych szeptali do nas:

– Czapki z głowy!

A my nic. Staliśmy dumni i nieprzystępni, choć przyznaję, że miałem lekkiego pietra. Ale mina Mundka dodawała mi odwagi. Nagle przez tłum zaczął się do nas przedzierać stójkowy, ogromne chłopisko z wielkimi płowymi wąsikami.

Podszedł i powiedział cicho po polsku:

– Uciekajta stąd, chłopaki. Ino żywo.

Odeszliśmy wolno z minami Kmiciców, którzy niegdyś wysadzili tu, w pobliskim klasztorze, szwedzką kolubrynę.

Za rejteradę przed stójkowym odegraliśmy się na jakimś gimnazjście ubranym w rosyjską rubaszkę. Przegoniliśmy go dwa razy dookoła cerkwi z krzykiem:

– Jak żeś ty się ubrał, szczeniaku!

Ale kiedy zaczął wrzeszczeć:

– *Garadawoj!* – zwialiśmy w stronę klasztoru.

Tak to prowadziliśmy się w Częstochowie, dokąd wysłali nas rodzice na modlitwę, kontemplację i przyrzeczenie poprawy.

Powróćmy jednak do Warszawy na Wielką.

Nie opodał magazynu pana Mineręła w niewielkim sklepiku mieścił się mój pierwszy wydawca. Była to mała drukarenka, nazwiska właściciela już nie pamiętam, ale chyba nazywał się pan Dąbrowski. Wydawnictwo pana Dąbrowskiego

specjalizowało się w wypuszczaniu w świat zbiorów piosenek pod takimi tytułami jak *Huśtaj mnie*, *Antoś*, *I krok w krok*, *Stary Cygan*, *Biały pokoik* itp. Ale prócz tego wydawało dwa magazyny, jeden nazywał się *Stefan Wenkie*, *znakomity detektyw warszawski*, a drugi nosił marsowy tytuł *Wiarus*.

Otóż mając lat dwanaście, napisałem do tego *Wiarusa* nowelę. Tytułu już sobie nie przypominam, ale był równie wstrząsający, jak i fabuła, która opiewała dramatyczny koniec literata umierającego z głodu w nieopalanej izdebce, oczywiście na poddaszu, przy dwudziestu ośmiu stopniach mrozu, podług Celsjusza. Utwór posłałem pocztą, incognito, i łatwo sobie wyobrazić moją radość, gdy w następnym już tygodniu ujrzałem swoje dzieło w druku, opatrzone mrozącą krew w żyłach ilustracją.

### *Połknąłem bakcyl teatru*

Przedtem jeszcze poznałem uroki autorskich i scenicznych triumfów biorąc udział w przedstawieniach amatorskich, urządzanych w mieszkaniu mego serdecznego podwórkowego przyjaciela, Władzia Koniecznego. Po prostu któregoś dnia postanowiliśmy z Władkiem zostać aktorami.

Pan Konieczny, ojciec Władka, był właścicielem zakładu introligatorskiego i jego pracownia idealnie nadawała się na lokal teatralny. Była bowiem dwupoziomowa, przy czym wyższa część warsztatu stanowiła jakby gotową naturalną scenę, na niższej urządziło się widownię.

Z dekoracjami również nie było kłopotu. Introligatornia miała pod dostatkiem różnokolorowego papieru, z którego wyklejaliśmy piękną oprawę sceniczną, jakiej nie po-

wstydziliby się niejeden z dzisiejszych znakomitych scenografów.

Na dzień przed premierą zasiadaliśmy z Władkiem do pisania sztuki. Oczywiście nie były to utwory zbyt obszerne, składały się zazwyczaj z kilku zdań, stanowiących jakby ogólne wskazówki, na jaki temat należało mówić na scenie. A więc nie wiedząc nic o tym tworzyliśmy najprawdziwszy teatr dell'arte.

Główne role graliśmy my dwaj, spełniając jednocześnie funkcje maszynistów oraz bileterów, kontrolujących zaproszenia, żeby nie przedostała się na widownię „granda” z sąsiednich podwórek, która mogłaby wygwizdać przedstawienie. Przy zastosowaniu więc tych ostrożności widowiska odbywały się w należyтым nastroju i powadze.

Egzystencję teatru i jego świetnie zapowiadającą się przyszłość przerwało nagle zarządzenie właściciela lokalu, pana Koniecznego, likwidującego naszą placówkę, która podobno przeszkadzała w pracy introligatorni, zużywając na przykład klientowski ozdobny papier do przystrojenia sceny.

Teatr został zamknięty, ale jego bakcył pozostał w duszach twórców. Obaj z Władkiem zasililiśmy potem szeregi aktorów modnych wówczas w Warszawie teatrów amatorskich. Nie pamiętam już, w ilu i jakich przedstawieniach tego typu brałem udział, choć niekiedy jakiś drobny przedmiot zabłąkany w szpargalach domowych przypomina tamte teatralne przeżycia. Oto znalazłem kiedyś karbowaną kunsztownie bibułkę, a na niej wydrukowany ozdobnym drukiem program przedstawienia amatorskiego w Stowarzyszeniu Techników przy ul. Włodzimierskiej. (Dziś jest to NOT, a ulica nazywa się Czackiego). W programie obok swego znalazłem nazwiska innych wykonawców: Lecha Niemojewskiego i Bohdana Pniewskiego, przyszłych znakomitych architektów polskich. Wtedy byli

studentami. Marszczona bibułka, dostarczana teatrom amatorskim dla reklamy przez znaną firmę perfumeryjną „Fryderyk Puls i Synowie”, po latach zachowała nikły zapach perfum, którymi była nasycona.

Tak że występowało się tu i tam, ale główną działalność teatralną uprawiałem w swojej szkole.

A było nią ośmioklasowe Gimnazjum Filologiczne Wojciecha Górskiego, mieszczące się w Warszawie przy ulicy Hortensji (dziś Górskiego). Tu przeżyłem pierwsze potyczki z cenzurą. Stanowił ją sam dyrektor Górski – świetny pedagog, wychowujący młodzież własnymi, nowoczesnymi jak na owe czasy, metodami. Między innymi należał do nich stały teatr szkolny, prowadzony przez uczniów.

Jednym z kierowników tego teatru byłem przez jakiś czas ja. Jako słuchacz szóstej chyba klasy. Ponieważ oprócz powołania aktorskiego czułem jeszcze iskrę bożą w kierunku dramaturgii, dostarczałem teatrowi potrzebnego repertuaru, czyli tak zwanych wówczas komedijek.

Dyrektor Górski mimo swego liberalnego stosunku do naszej sceny wymagał jednak przedstawiania sobie do akceptacji utworów, które miały być wystawione. Oczywiście krępowało to górne loty etatowego dramaturga. Napisałem właśnie wspaniały skecz pt. *Na wakacjach*, kończący się płomiennym pocałunkiem między bohaterami: uczniakiem i pensjonarką. Naturalnie szans na przejście przez cenzurę utwór, moim zdaniem, nie miał żadnych. A bardzo nie „chciałem, żeby dzieło zostało stracone dla potomności. Postanowiłem więc wystawić je warunkowo, wykorzystując fakt, że dyrektor wyjeżdżał często na niedzielę do swojego mająteczku w Grójeckiem. O ile więc „Góral” wyjedzie, skecz, stanowiący jeden z numerów programu, idzie. W przeciwnym razie oczywiście odpada. Wszystko składało się doskonale: pedagog wyjechał.

Przedstawienie się odbywa. Ja w roli sztubaka prowadzę kunsztowny flirt z najwybitniejszą naszą „aktorką”, autentyczną pensjonarką z gimnazjum żeńskiego pani Lange, i nagle, w momencie zbliżającego się pocałunku, dochodzi mnie zza kulis przejmujący szept któregoś z kolegów „artystów”:

– „Góral” na sali!

Rzucam okiem na widownię i rzeczywiście spostrzegam stojącego przy drzwiach w głębi sali dyrektora. Jest w swojej czarnej długiej pelerynie, ręce ma skrzyżowane na piersiach, patrzy na mnie surowo. Przyznam się, że dusza uciekła mi w pięty. Pocałunek jednak został wykonany. Właściwie nie był to pocałunek, szturchnięcie nosem w oko. I to podobno dość mocne.

Rzecz dziwna, ale wszystko skończyło się dobrze. Dyrektor wezwał mnie nazajutrz do siebie i oświadczył, że jest mu bardzo przykro z powodu tego braku zaufania do niego.

– Zasmuciłeś mnie, dziecię, przecież ja bym ci to puścił. To było zgrabne i bardzo przyjemne.

A „dziecina” pod wąsem (bardzo wcześnie mi się sypać zaczęły) siedziała na brzegu krzeselka i myślała sobie: „Gadaj zdrów, kochany dyrku. Nie puściłbyś!”.

Do dziś nie wiem, jak by to było. Tyle tylko zostało mi po tej rozmowie, że podczas wieczorów autorskich, miewanych dość często, zawsze patrzę w głąb sali, czy przy drzwiach ktoś nie stoi.

Wtedy bardzo ściśle trzymam się tekstu przejrzanego przez odpowiednie instancje.

Niezależnie od występów na scenie szkolnej grywałem gościnnie, jako się rzekło wyżej, gdzie się dało. Ten nadmiar zajęć teatralnych powodował, że na mozolne studiowanie prog-

ramu gimnazjalnego czasu miałem niewiele. Toteż niektóre ciekawsze klasy powtarzałem. Na szczęście zacy dyrektor Górski wprowadził w swojej szkole ustrój semestralny – półroczny. Zamiast ośmiu klas było szesnaście semestrów. Tak, że oblany uczeń tracił na powtórkę tylko sześć miesięcy zamiast całego roku.

Korzystałem czasem z tego udogodnienia, co w rezultacie dawało mi co pewien czas nowych kolegów. Dawniejsi odchodzili, ale przybywali inni, często nawet sympatyczniejsi. W każdym razie powiększało się grono młodych ludzi, o których mogłem mówić, że byli moimi kolegami. I dziś nie wiem, czy jest ktoś jeszcze w Warszawie rozporządzający taką ilością byłych kolegów szkolnych.

Stawało się to czasem jednak przyczyną drobnych przykrości. Nie znając dokładnie nowych towarzyszy szkolnej doli, padałem ofiarą fałszywych informacji.

Oto na początku pewnego semestru zostałem wywołany do tablicy przez nauczyciela algebry. Kazał mi rozwiązać jakieś równanie, zrobiłem to, ale nie będąc specjalnie pewny swoich wiadomości w dziedzinie nauk ścisłych, rozglądałem się po klasie szukając aprobaty. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na siedzącego w pierwszej ławce prymusa, o którym słyszałem, że jechał na samych piątkach.

Speszyłem się, bo prymus przecząco kręcił głową. Starłem więc rozwiązanie gąbką i napisałem inne. Znakomitość klasowa tym razem potwierdziła wynik, kiwając nosem na znak zgody. Pewny więc swego czekałem spokojnie, aż nauczyciel oderwie oczy od jakichś swoich notatek i spojrzy na tablicę. Spojrzał i postawił mi dwóję. Okazało się, że pierwsze moje rozwiązanie było dobre.

Na pauzie wściekły dopadłem prymusa:

– Świnia jesteś, nie kolega, wiesz!

Nie wiedział, o co mi chodzi. Okazało się, że miał tik nerwowy, polegający na przeczącym kręceniu głową bądź też kiwaniu nią, na przemian. Starzy jego koledzy wiedzieli o tym, ja, drugorocznik, wpadłem.

Za to w języku polskim powodziło mi się nieźle. Ale też nie udało mi się osiągnąć zbyt wysokich ocen. Może dlatego, że musiałem pisywać zazwyczaj dwa ćwiczenia. Jedno za siebie, drugie za wiernego swego przyjaciela, Stefana Kłosowskiego. W rezultacie za klasówki Stefan zbierał piątki, a ja musiałem się kontentować trójką z plusem. Nie starczało mi już inwencji twórczej na drugie ćwiczenie, pierwsze było bowiem dla przyjaciela. W dodatku musiałem je pisać „prostym charakterem”, a swoje pismem pochyłym, żeby się nauczyciel „nie pokapował”.

Jednak te drobne szkolne przeciwności losu nie były w stanie oderwać mnie od teatru. Mnożyły się przedstawienia, w których brałem udział, a wreszcie zostałem członkiem stałej amatorskiej trupy, grywającej pod firmą Teatr Popularny w sali Związku Rzemieślników Chrześcijan, przy ulicy Kaliksta 5. Dziś ta ulica nazywa się Śniadeckich, a z gmachu Związku nie zostało śladu.

Tu, szybko awansując, zająłem wkrótce stanowisko drugiego amanta (tak, tak!), kreując najrozmaitsze postacie w mrozących krew w żyłach dramatach z szerokiego repertuaru teatrów ludowych, jak *Dwie sieroty*, *Roznosicielka chleba*, *Głośna sprawa*, *Tajemnice Warszawy* (to były tytuły, co?), bądź też w wodewilach: *Krakowskie zuchy*, *Stare Miasto* czy *Królowa przedmieścia*.

Byłem nawet Winicjuszem w przeróbce z *Quo vadis* i Ketlingiem w *Hajduczku* adaptowanym z *Pana Wołodyjowskiego* przez kierownika naszego teatru, zawodowego, świetnego niegdyś aktora teatru krakowskiego, Józefa Popławskiego, zwanego powszechnie Plasiem.

Naturalnie grywałem pod pseudonimem: Stefan Gozdawa. Tego Gozdawę pożyczyłem sobie z jakiejś, nie pamiętam już jakiej, powieści Rodziewiczówny. Tak się tam nazywał pewien niesłychanie atrakcyjny bohater. Oczywiście znakomity artysta dramatyczny Teatru Popularnego Gozdawa, idąc na spektakl czy też próbę, w bramie teatralnej pakował do kieszeni czapkę szkolną z dwoma zielonymi lampasami.

„Kepi wojska francuskiego nosi mała od Górskiego” – mawiali o tych czapkach uczniowie innych szkół warszawskich. Myśmy nazywali ją po prostu: kiepa. Oczywiście kiepa była ówczesnym zwyczajem stłamszona, pozbawiona wnętrzości, miała przełamany daszek i do kieszeni wchodziła stosunkowo łatwo. Łatwo też drżący rano przed dwóją z fizyki uczeń któregoś tam semestru zamieniał się wieczorem na scenie teatru w nieustraszonego bohatera dramatu Eugeniusza Sue, Wiktora Hugo czy Korzeniowskiego.

Właśnie w *Cyganach* tego autora grałem rolę młodego cygańskiego wodza, przed którym tańczyła, uderzając w tamburyno, śliczna szesnastoletnia czarnooka dziewczyna o wielkich zdolnościach choreograficznych. Na scenę zawodową nie poszła, ale przypadkowo wiem, co się z nią stało. Została moja żoną. Oczywiście w kilka lat później.

Oprócz tego niewątpliwego sukcesu, a raczej drogiego daru, dał mi Teatr Popularny kawałek chleba w rękę. Bo tak się złożyło, że dzięki praktyce na tej scenie zostałem na czas jakiś zawodowym aktorem. Grywałem w Teatrze Powszechnym na Chłodnej, w Praskim na prawym brzegu Wisły. A nawet miałem propozycję zaangażowania do Teatru Małego w gmachu Filharmonii Warszawskiej. Ale że trzeba było na pół roku wyjeżdżać do Łodzi, gdzie teatr miał swoją filię» zrezygnowałem. Wpłynęły na to chyba pewne plany związane z małą Cyganką tańczącą w sztuce Korzeniowskiego.